

0 „Perfidnym Albionie”, bohaterskim Buenos Aires i bezlitosnej ekonomii

27 maja 2013

Argentyńczycy niedawno znowu zażądali zwrotu Falklandów. Pytanie, czy faktycznie o wyspy im chodzi. I czy Londyn ma w ogóle co „zwracać”.

Falklandy, archipelag około 700 wysp, zagubiony gdzieś na Południowym Atlantyku nieopodal wybrzeży argentyńskich. Dwie duże wyspy, Wschodni i Zachodni Falkland, zła pogoda, wodorosty, torfowiska, skały i owce. Dużo owiec. Szkoccy i walijscy koloniści, tzw. kelpers[1], musieli czuć się tam prawie jak w domu, co widać po przekroju demograficznym tej niegościnniej okolicy: zdecydowana większość (około 70%) mieszkańców Falklandów to właśnie ich potomkowie.

Wyspa jest jednak bardzo dogodnie położona. W razie konieczności, stanowi doskonałą bazę dla kogoś, kto chciałby kontrolować ruch handlowy dookoła południowego cypla Ameryki Południowej. Stanowi także doskonały punkt wypadowy do eksploracji Antarktydy, zaś odkryte w 1995 roku duże złoża ropy (szacowane na 60 miliardów baryłek) dodatkowo podnoszą wartość wysp. Nic dziwnego, że Argentyna toczy spór z Zjednoczonym Królestwem o status Falklandów/Malwinów[2].

A może jednak parę rzeczy powinno dziwić...? Spróbujmy prześledzić historię tego sporu. Jest ona dość skomplikowana. Pomijając potencjalną obecność na wyspach Indian południowoamerykańskich, archipelag został odkryty w roku 1600 przez wiceadmirała Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, Sebalda de Weert. Kapitan naniósł go na mapy, nazwał nieskromnie Wyspami Sebalda i popłynął dalej w błogiej nieświadomości, że jego odkrycie stanie się kością niezgody na

kolejne cztery wieki.

W 1690 roku wyspy ponownie „odkrył” kapitan John Strong. W wyniku sztormu zboczył on z kursu i trafił na Wyspy Sebalda. Nazwał je Wyspami Falklandzkimi, opracował ich pierwszą mapę i również popłynął dalej. Smagany wiatrami kawałek ziemi musiał jednak dalej czekać na pierwszych mieszkańców. Zjawili się oni dopiero w 1764 roku, sprowadzeni na wyspę przez Louisa Antoine’a, hrabiego de Bougainville. Założył on na Wschodnim Falklandzie osadę Port Louis. Anglicy pospieszyli z odpowiedzią: rok później kapitan John Byron wylądował na Zachodnim Falklandzie i założył Port Egmont, ogłaszając Falklandy ziemią podległą królowi Jerzemu III.

Francuzi nie mieli zamiaru awanturować się o kawałek skały na końcu świata: W 1767 roku po prostu przekazali kłopot Hiszpanii, zrzekając się na ich rzecz praw do Falklandów. Madryt był nastawiony bardziej wojowniczo i w 1770 wydał rozkaz ataku na Port Egmont. W wyniku rozmów konflikt udało się jednak zażegnać i Wielka Brytania powróciła do swojej osady. Nie na długo jednak. W 1774 roku koloniści wycofali się z wyspy, przekazując ją Hiszpanii. Ci wszakże także mieli pecha. Wyspy nawiedziła epidemia i w 1811 ostatni hiszpańscy pionierzy opuścili archipelag.

Wielka Brytania wróciła na opustoszałe wyspy w 1820 roku. Początkowo wszystko zapowiadało, że uda jej się dogadać ze Zjednoczonymi Prowincjami Rio de la Plata, jak do 1826 roku nazywała się Argentyna. Iluzja ta jednak szybko prysła. W 1832 roku na Falklandach powstał argentyński obóz karny dowodzony przez komandora Mestiviera. Bardzo szybko wybuchł w nim bunt, sam Mestivier został zabity, a więźniowie przejęli kontrolę nad obozem. Spokój przywróciły oddziały brytyjskiej armii, kładąc kres zarówno buntowi, jak i, w dalszej perspektywie, argentyńskiej bytności na wyspie. Topór wojenny nie został zakopany po dziś dzień.

Ten przydługi wstęp dobrze obrazuje, że trudno jest ustalić,

kto w sumie ma do wyspy większe prawa. Wielka Brytania? Wprawdzie była tam druga, lecz jednocześnie na długo przed powstaniem Argentyny, ale za to wróciła na wyspę prawem zasiedzenia. A może Argentyna? Jej prawa do wysp zostały w swoisty sposób „odziedziczone” po hiszpańskim imperium kolonialnym...

W momencie, gdy pierwszy człowiek wziął do ręki kawał kija i zdzielił w głowę swojego bliźniego, narodził się najpotężniejszy oręż w arsenale dyplomacji. Argentyna zdecydowała się go użyć w 1982, rozpętując konflikt znany jako „wojna o Falklandy”. Tylko czy faktycznie była to wojna o Falklandy? Może chodziło w niej o coś innego?

Falklandy potrzebne były Argentynie tak samo, jak rybie rower. Sytuacja oczywiście zmieniła się po odkryciu złóż ropy, ale w 1982 roku nikt nawet nie przypuszczał, że wyspy kryją jakieś bogactwa naturalne oprócz wodorostów i owiec. Dlaczego więc rząd argentyński zdecydował się na prowokację przeprowadzoną w marcu 1982 roku przez grupę robotników budowlanych, pracujących w Leith na Południowej Georgii, przy rozbiórce nieczynnej stacji wielorybniczej? Zbudowali oni maszt i wciągnęli nań argentyńską flagę narodową. Biorąc pod uwagę ciągłe spory o przynależność archipelagu, było oczywiste, że Londyn zareaguje. Tak też się stało, Foreign Office wystosowało ostrą notę protestacyjną, którą Buenos Aires wyrzuciło do kosza, argumentując, że przecież wszystko jest w porządku, bo flagę wciągnięto na terytorium... Argentyny. 2 kwietnia 1982 roku na Falklandach wylądowała pierwsza fala sił argentyńskich, które w końcu osiągnęły liczebność 12 tysięcy żołnierzy. 79 Brytyjczyków stanowiących garnizon na Falklandach, zostało wziętych do niewoli i odesłanych na kontynent w formie symbolu zwycięstwa.

Wielka Brytania może i znajduje się 14 tysięcy kilometrów od Falklandów, ale jak się okazało wciąż pamięta jeszcze, jak się uprawiało „politykę kanonierek”. Wciąż nie lubi również, gdy poddanych Królowej spotyka krzywdą. 5 kwietnia Portsmouth

opuściły „kanonierki”, w formie Task Force 317 pod dowództwem adm. Johna Woodwarda. Sam przebieg konfliktu był już wielokrotnie opisywany, nie ma więc potrzeby powtarzania tego, co jest już dobrze znane. Skupmy się na opisanu dlaczego ta wojna w ogóle wybuchła. W tym celu udajmy się na kontynent, do Buenos Aires.

Zaznaczmy od razu, że XX wiek nie był dla Ameryki Południowej okresem łaskawym. Kontynentem wstrząsały radykalne działania skrajnej lewicy, posuwającej się w walce do ataków terrorystycznych i mordów, co spotykało się z coraz brutalniejszymi i ostrzejszymi odpowiedziami i odwetami strony prawicowej. Co i rusz upadał jakiś rząd i zastępowała go dyktatura, po czym dyktaturę obalano i triumfalnie ogłaszano powrót demokracji. Junta rządząca Argentyną od 1976 do 1983 roku, kierowana przez pierwsze lata przez gen. Jorge Videlę, zwana jest zazwyczaj po prostu la última junta militar, by zaznaczyć, że od tego czasu wojskowi już ani razu nie sięgnęli po władzę.

Dyktatury, jak i rządy demokratyczne, dzielą się na lepsze i gorsze. Junta argentyńska należała zdecydowanie do tych gorszych. To, że niepokoje społeczne osiągnęły poważne rozmiary, nie jest zaskoczeniem, w dyktaturach jest to wręcz normalne. To, że wolności osobiste były gwałcone, także jest zrozumiałe, jest to wszak zjawisko nagminne w dyktaturach. Zdarzają się jednak takie rządy dyktatorskie, które przynajmniej potrafią dobrze poradzić sobie z gospodarką. Junta argentyńska jest świetnym przykładem takiej, która sobie zupełnie nie radziła. W skutek jej rządów Argentyna znalazła się na skraju przepaści.

Po dosyć stabilnych latach 1976-78 deficyt finansowy i wskaźnik zadłużenia zagranicznego zaczęły rosnać w zastraszającym tempie. Wzrost argentyńskich długów okazał się być niszczycielski dla przemysłu, którego obroty zaczęły niesłychanie spadać. W 1979 junta zdecydowała się na zamrożenie kursu wymiany peso argentyńskiego, by uniknąć

postępującej deprecjacji pieniądza. Udało się jednak jedynie stworzyć huśtawkę, na której argentyńska gospodarka wahała się od inflacji do deflacji. W 1980 roku inflacja sięgnęła 100% – doszło do nasilenia się ucieczki kapitału i załamania całego systemu finansowego Argentyny.

Pogarszająca się sytuacja gospodarcza siłą rzeczy miała znaczny wpływ na nastroje społeczne. Wzrastała niechęć do rządów junty, w siłę rosła radykalna lewica. Junta na gwałt potrzebowała zasłony dymnej, jakiegoś sukcesu, czegoś, co odwróciło by uwagę rodaków od mizerności w kraju i pozwoliło by wzbudzić poczucie, że wszystko jest w porządku. I przypominała sobie o Falklandach.

Archipelag nie miał absolutnie żadnego znaczenia gospodarczego, ale gigantyczną wartość propagandową. Utracona ziemia, o którą wciąż walczone na forum ONZ, wbrew nawet woli jej mieszkańców. Okazja do wyszarpnięcia czegoś „perfidnemu Albionowi”, utarcia nosa odwiecznemu wrogowi, korzystając z jego osłabienia. Okazja do wybuchów radości z odzyskania zagrabionej ziemi, poklepywania się po plecach i ocieplania wizerunku junty. Okazja do zasłonięcia przed obywatelami równi pochyłej, po której ich kraj właśnie mknie w przepaść, i przekonania ich, że w rzeczywistości wszystko jest świetnie, że Argentyna odnosi sukcesy. Mało tego! Można było powiedzieć, że rząd jest tak skuteczny, że w końcu rozwiązuje problemy tak poważne jak te, które pozostawały nierozwikłane od XIX wieku. Pech chciał, że Buenos Aires nie przewidziało akcji dwóch lotniskowców, HMS Hermes i HMS Invincible, nie przewidziało, że komandor Wreford-Brown odpali z pokładu HMS Conqueror dwie torpedy Mk 8 i przerobi ARA General Belgrano na żyletki, nie przewidziało kompanii SAS i komandosów Królewskiej Piechoty Morskiej, nie przewidziało bombowców Avro Vulcan z operacji Black Buck... Newsweek z 19 kwietnia 1982 stwierdzał na okładce: „Empire Strikes Back”. Trafnie. Liderzy junty nie przewidzieli, że świat nie ma zamiaru dopasować się do ich fantasmagorii i życie potoczy się w swoją stronę, miażdżąc po

drodze plany uśpienia Argentyńczyków propagandą sukcesu.

Wydarzenia te miały miejsce 31 lat temu. Okazuje się, że to dość czasu, by zapomnieć lekcję, czego dowodzi aktualna pani prezydent Argentyny Cristina Fernandez de Kirchner. Wykupiła ona powierzchownie reklamowe w dwu brytyjskich magazynach i zamieściła na nich listy otwarte, w której żąda zwrotu Falklandów. Nie wiem, czy właściwie należy to uznać za formalne doręczenie noty, ale w czasach informowania o działaniach administracji rządowej na Twitterze wszystko jest możliwe. Choć od wystosowania noty do deklaracji wojny jest jeszcze kawałek drogi, powstaje pytanie: po co odgrzewać konflikt? Zwłaszcza, gdy za ostatnim razem sromotnie się go przegrało?

Ano po to, by ukryć własne kłopoty. Dokładnie tak samo, jak próbowano to zrobić trzydzieści lat wcześniej. A jest co ukrywać.

Argentyna zмага się z kolejnym kryzysem ekonomicznym i, jak na razie, nie radzi sobie zbyt dobrze. Wzrasta inflacja, protestują związki zawodowe, spada zaufanie do peso argentyńskiego. Choć do 2011 bilans wymiany handlowej był dla Argentyny dodatni, nie zapobiegło to ucieczce kapitału. W latach 2007-2011 ucieczka sięgnęła 73 mld dolarów. Dla porównania, Fernando de la Rúa ustąpił, gdy ucieczka kapitału wyniosła 19 mld. Dlaczego Cristinie de Kirchner uszło to na sucho? Zadziałała widzialna ręka rządu: różnicę pokryto, wpompowując w rynek 98 mld dolarów z dochodu uzyskanego ze sprzedaży płodów rolnych. A że z subsydiami tak już jakoś jest, że jedno pociąga kolejne, to aktualnie Argentyna na same dopłaty i wzrastające wydatki publiczne traci dwa miliardy dolarów miesięcznie.

Nie ostatnim, ale jednym z solidniejszych gwoździ do trumny argentyńskiej gospodarki jest złe zbalansowanie wydatków rządowych. Wprawdzie PKB Argentyny wrasta, ale co to daje, jeśli wydatki go przewyższają? Za prezydentury Nestora

Kirchenera, w latach 2003-2007, przychód wynosił 28% PKB, wydatki zaś: 23% PKB. Za prezydentury Cristine Fernandez de Kirchner, w latach 2007-2011, relacja uległa zmianie. Wprawdzie przychód nadal wynosił 27% PKB, wydatki dobiły jednak do 33% PKB. Jeśli dodamy do tego spadającą aktywność ekonomiczną, zapowiadaną przez ekonomistę Eduardo Curie i ryzyko stagflacji, przed którym ostrzega Miguel Kiguel, dyrektor Econviews Institute, uzyskamy obraz mocno nieciekawym. Tym bardziej jeszcze, że niektórym wierzycielom Argentyny zaczynają puszczać nerwy: 2 października rząd Ghany aresztował argentyńską fregatę, odesłał jej załogę i zadeklarował, że puszcza ją dopiero, gdy Argentyna zapłaci 20 mln dolarów ze swoich długów. Można zrozumieć Carlosa Melconiana, konsultanta fundacji M&S pracującej dla Mercosur, gdy twierdził, że dla lepszego zrozumienia Argentyny potrzebny jest raczej psycholog, niż ekonomista.

Cristina de Kirchner postanowiła zastosować manewr, który już raz nie udał się juncie sprzed trzydziestu lat i chce uspokoić nastroje społeczne przez osiągnięcie spektakularnego sukcesu, takiego jak uzyskanie narodowego symbolu: Falklandów. Stąd podburzanie nastrojów antybrytyjskich, stąd zdemolowanie biur brytyjskich przewoźników pasażerskich i wojownicze deklaracje. Pytanie, jak daleko posunie się Buenos Aires w potrząsaniu szabelką i wołaniu o rewanzu za XIX wieczny kolonializm.

Mydlenie obywatelom oczu przez władzę jest działaniem o długiej tradycji. Pozostaje mieć nadzieję, że obywatele będą o tym pamiętać i będą zachowywać zdwojoną uwagę w patrzeniu na ręce swoim rządzącym, gdy ci będą próbowali odwracać ich uwagę różnymi głośniami, medialnymi akcjami.

Autor: Przemysław Mrówka

Źródło: Histmag.org

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)

PRZYPISY

[1] Przydomku nie da się przetłumaczyć na język polski. Pochodzi od angielskiej nazwy listownic (kelp), wodorostów, których wielkie ilości porastają morze dookoła wysp.

[2] Malwiny to spolszczenie hiszpańskiej nazwy archipelagu, Islas Malvinas, używanej przez Argentyńczyków